

## **Książki będą na półkach, nawet te źle urodzone. Spotkanie z Aaronem Lanskyem**

Filip Fierek

**Brawurowy projekt ratujący żydowską literaturę mógłby być mrzonką lub scenariuszem amerykańskiego filmu. Mógłby, gdyby nie fakt, że ocalenie przed zniszczeniem ponad miliona książek wydarzyło się naprawdę. I ma jednego ojca, Aarona Lansky'ego.**

„Wyobrażam sobie ziemię kiedy mnie nie będzie / I nic, żadnego ubytku, dalej dziwowisko, Suknie kobiet, mokry jaśmin, pieśń w dolinie. / Ale książki będą na półkach, dobrze urodzone / Z ludzi, choć też z jasności, wysokości” – pisał Miłosz w jednym z częściej cytowanych wierszy.

W utworze *Ale książki* kondensują się retroaktywnie wszystkie wątki, jakie we wspomnieniach *Przechytrzyć historię* podjął Lansky, człowiek instytucja, postać, której literatura jidysz zawdzięcza swe ocalenie. Może zresztą nie aż tak retroaktywnie; choć w języku angielskim książka Lansky'ego ukazała się w 2004 roku, podczas gdy wiersz Miłosza liczy sobie ponad 30 lat, Lansky działał już wówczas, gdy polski noblista pisał te słowa. Swój projekt zaczął bowiem w latach siedemdziesiątych, do dnia dzisiejszego zaś udało mu się zgromadzić w Yiddish Book Center ponad milion książek.

Apoteozę książki jako przedmiotu zrodzonego „z ludzi, choć też z jasności wysokości”, którą we właściwym sobie stylu wygłosił Miłosz, Lansky uczynił treścią swojego życia. Właśnie o tym opowiadał w niedzielne popołudnie Magdalenie Kicińskiej i publiczności zgromadzonej na Scenie Kameralnej Teatru Wybrzeże. Wszystko to dzięki wysiłkowi wydawnictwa Smak Słowa, które w 2020 roku – a więc po 16 latach od publikacji książki Lansky'ego w Stanach Zjednoczonych – postanowiło przybliżyć jego historię także polskim czytelnikom.

Aaron Lansky rozpoczął opowieść od wczesnej fazy swego projektu. Mówił, że już podczas studiów bardziej niż mechanizmy Zagłady interesowało go życie, któremu Zagłada zadała kres. Zaczął wówczas projekt, któremu jak miało się okazać, poświęcił całe życie: odwiedzał ludzi, którzy w swych bibliotekach przechowywali książki napisane w jidysz, języku Żydów aszkenazyjskich. Na samym początku robił to w pojedynkę, później jednak zbudował wokół siebie zespół oddanych sprawie ludzi. Nie dość, że z racji swego ogromu nie była to praca przeznaczona dla jednej osoby, to każdy z gospodarzy ofiarujących księgozbiory raczył wolontariuszy ciastem i długimi opowieściami – stąd też część ekipy siadała z nim przy stole, podczas gdy pozostali przystępowali do archiwizowania interesujących ich pozycji.

W rezultacie – jak mówił Lansky – powstało Yiddish Book Center, największa na świecie instytucja gromadząca książki napisane w jidysz. Część zbiorów jest już zdigitalizowana, dzięki czemu można zapoznać się z nimi z każdego miejsca na świecie. Z drugiej strony zaledwie 2 procent wszystkich tytułów zostało przetłumaczonych z jidysz na angielski. Pokazuje to, jak niewielki kontakt ma wciąż z tą literaturą szeroka publiczność. Mamy jednak prawo wierzyć, że skoro jednak Lansky'emu udało się ocalić słowo drukowane, przekład jest już tylko kwestią czasu.

Przywoływane na początku tekstu słowa Miłosza zamykają jego utwór; chwilę wcześniej mowa w nim o pewności, jaką podmiot liryczny żywi co do losu słowa drukowanego, obojętnego na dziejowe zawieruchy: „Jesteśmy – mówiły, nawet kiedy / wydzierano z nich karty / Albo litery zlizywał buzujący płomień”. Czy Miłosz w tym zgoła platońskim wierszu nie idzie jednak o krok za daleko, przypisując książkom niejako odrębną

status ontyczny, niezależny od tego, co przydarzy się ich fizycznemu ciału? Sądzę bowiem – i nie jestem zapewne w tej opinii odosobniony, o czym zaświadczała choćby frekwencja niedzielnego spotkania – że książki napisane w jidysz, książki źle urodzone, będą na półkach, mogą powiedzieć „jesteśmy”, tylko dzięki Lansky’emu, człowiekowi, który przechytrzył historię.